

Krzepkowski, Mieczysław

W Wilnie : ze wspomnień

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 9/4, 573-594

1970

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW KRZEPKOWSKI

W WILNIE

ZE WSPOMNIEŃ

Po tułaczce na ziemiach wschodnich, która trwała do 5 października 1939 r., obraliśmy na chwilową przystań Wilno. Znałem je zaledwie z dwukrotnego w nim pobytu. Po raz pierwszy zetknąłem się z tym miastem, które tak bardzo się skojarzyło z Mickiewiczem, filomatami i filaretami, Zanem i *Dziadami*, jako młody, dwudziestokilkuletni człowiek. Jakimś tam sposobem po wojnie 1920 r. dostałem przydział do 6 p.p.leg. i do Wilna zostałem wezwany na miesięczne ćwiczenia. Drugi raz przybyłem do Wilna na dwa czy trzy dni.

5 X — 26 X

Ładne miasto, położone jakby na dnie ogromnego, zielonego spodka. Ale oglądane w dżdżysty, październikowy wieczór, nie sprawiało miłego wrażenia. Ulice były puste. Pod ścianami przemýkali się nieliczni przechodnie, mimo że była dopiero piąta po południu.

Marzyliśmy o jakimś dachu nad głową. Wyglądaliśmy napisu „hotel”. Już nie pamiętam, na której ulicy znaleźliśmy hotel, łączący w sobie dodatkowo drugi cel użytkowy, jak to można było łatwo wywnioskować z widoku kilku uszminkowanych dziewcząt i młodych ludzi, udających elegantów. Zażądano od nas 5 zł za pokój. Znaleźliśmy wreszcie inny, spokojniejszy, przy ulicy Zawalnej, i w dodatku tańszy.

Już następnego dnia spotkaliśmy znajomych: Grzegorza Załęskiego, Ukraińczyka, który pracował w „Ostatnich Wiadomościach”, Józefa Rosena z redakcji „Kina”. Henryk Liński zaraz złożył wizytę konsulowi litewskiemu, którego poznał w Warszawie jako radcę poselstwa litewskiego. Od tego konsula otrzymał szereg informacji, a przede wszystkim o rokowaniach litewsko-radzieckich w sprawie oddania Wilna Litwie. Na ten temat krążyły też wśród uchodźców pogłoski, że Litwa zajmie pas ziemi z Wilnem i Święcianami.

Z żywnością w Wilnie było tylko nieco lepiej niż w Pińsku, ostatnim naszym miejscu postoju przed Wilnem: mleko — 50 gr, kilo kartofli — 1 zł. Dobry obiad kosztował 2 zł. Wieczorem zapłaciliśmy 13 zł za jajecnicę, herbatę z mlekiem i cztery kawałki szarlotki. Mielśmy pieniądze, bo Liński sprzedał złotą obrączkę za 150 zł jubilerowi Andrukowiczowi.

Grzegorz Załęski okazał nam wiele serca, zapraszając do swego mieszkania; mieszkali już u niego inżynierowie Forber i Greniewski oraz dziennikarz Henryk Wachsberger, współpracownik „Czasu”. Niedługo mieszkaliśmy u Grzegorza, gdyż za 20 zł miesięcznie dostaliśmy pokój u pani Krahelskiej.

Zaczęliśmy się rozglądać.

Dni mijały powoli. Drożyzna rosła, ale można było jeszcze dostać jajko za 20 gr, kilo mięsa kosztowało od 2 i pół zł do 4, kilo kartofli — 35 gr. Mąki jednak nie było i o chleb było bardzo trudno.

Przeglądaliśmy się od czasu do czasu antyfaszystowskim demonstracjom ulicznym i słuchaliśmy okrzyków wznoszonych w językach polskim, rosyjskim i żydowskim.

Już 9 października Henio Liński „złapał” z Włoch informację radiową o zakończeniu rokowań radziecko-litewskich. Dopiero 11 października potwierdziło się to na miejscu. Rosjanie mają w szeregu miejscowości zachować swe garnizony, a dnia 13 października władze litewskie zajmą Wilno. Liński udał się zaraz do konsula Trimakasa, ale niewiele tam się dowiedział.

Zaczęliśmy rozmowy z kol. Latourem, czy po zajęciu Wilna przez Litwinów nie dałoby się uruchomić gazety. Były współpracownik „Polonii”, Waldemar Babinicz, z którym zbliżyliśmy się w Wilnie, zaproponował, abyśmy rozpoczęli starania o wyjazd do Danii. Nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać. Z nudów zacząłem pisać jakąś powieść, opartą na przeżyciach wrześniowych.

Liński słuchał codziennie radia i mówił mi, co słyszał. Wysłuchał więc przemówienia Zaleskiego i streszczenia jego rozmów z Chamberlainem i Halifaxem. To wszystko działo się tak od nas doleko! Interesowaliśmy się głównie zasadą „niepodzielności pokoju”, tzn., aby któreś z państw walczących nie zawarło pokoju z Hitlerem.

Nasze rozmowy na temat gazety tak się już posunęły naprzód, że planowaliśmy z Latourem skład redakcji, do której poza nim, Lińskim i mną miał wejść Rafał Mickiewicz oraz Załuski, który by objął kronikę miejską.

13 października umarł w Wilnie Władysław Buchner, redaktor „Muchy”. Miał lat 80. Wyruszył z Warszawy tym samym pociągami, co i my. Wysiadł również pod Łaskarzewem i jakoś dojechał do Wilna. O jego śmierci dowiedzieliśmy się zbyt późno, aby wziąć udział w pogrzebie. Już

nie pamiętam, jaką drogą dotarła do nas ta wiadomość, bo o druku klepsydr trudno było nawet myśleć.

Dochodziły też wieści ze świata. Jakiś przyjezdny z Brześcia opowiadał, że po zajęciu miasta Niemcy wyznaczili godzinę policyjną na szóstą po południu. W dwa dni później wywiesili ponoć na magistracie kartkę, że godzinę policyjną przesuwają się na 4 min. 30. Oczywiście nikt o tym nie wiedział. Punktualnie o 4,30 wyjechali żandarmi samochodami i na motocyklach, pędząc ludzi do domów. W śródmieściu złapano kilkadziesiąt kobiet, załadowano je do samochodów i zawieziono na dworzec. Tam w wagonie sanitarnym zrobiono każdej zabieg dezynfekcyjny i oddawano do sąsiednich wagonów żołnierzom na zabawę. Późnym wieczorem wypuszczono je do domów. Wiele było opowiadań o paleniu wsi przez Niemców i ostrzeliwaniu z samolotów ludzi ratujących swój dobytek.

Z samego rana sterczeliliśmy z Lińskim w ogonku po gliniasty chleb razowy. Stawało się w kolejce już o piątej rano, a odchodziło z chlebem około ósmej. W kolejce ja zacząłem się uczyć hiszpańskiego, Liński — litewskiego. Trzeba się było też zarejestrować w Komitecie Uchodźców, na którego czele stał adwokat wileński, Zagórski. Rejestrująca panienska poinformowała nas, że za kilka tygodni będzie można wyjechać do Francji.

Na własną rękę usiłowaliśmy zrobić spis naszych dziennikarzy, znajdujących się w Wilnie, biorąc również pod uwagę nie należących do organizacji. Zanotowałem nazwiska: Broncel, Świerzewski, Sobolewski (sprawozdawca wyścigowy), Miastecki, Ukraińczyk, Kiersnowski, Klibański, Babinicz, Dąbrowski, Mierzejewski, Olcha, Zahorska. Skontaktowałem się z prezesem Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich kol. Szydłowskim, proponując, aby tutejsi dziennikarze i my, uchodźcy, zastanowili się wspólnie nad dalszym postępowaniem. Szydłowski obiecał w najbliższym czasie zwołać zebranie zarządu.

Dnia 21 spotkaliśmy się z przybyłą do Wilna Marią Zawadzką, członkiem zarządu Klubu Sprawozdawców Lotniczych. Przybyli ponadto: Bongart, Grzymała z „Gazety Polskiej”, Kazimierz Kretowicz z Pomorza, Kafel, Mikułowski. Ze Lwowa przywędrował Aleksander Maliszewski z żoną. Opowiadał, że przebywają tam: Grostern, Grek, Wajnryb, Saliński, Melodysta, że są w bliskim kontakcie z Syndykatem Lwowskim.

Chociaż Wilno sprawiało wrażenie umierającego miasta, władze litewskie nie przestały przygotowywać się do jego zajęcia. Gdzieś koło 22 konsul Trimakas otrzymał od swego rządu pełną władzę cywilną.

Litwinów nadal wypatrywaliśmy bezskutecznie. Tłumaczono, że formacje radzieckie nie wychodzą z Wilna, bo koszary w Mińsku nie są jeszcze gotowe. Od paru dni wisiały w mieście chorągwie litewskie i moły na częstych, przewlekłych deszczach. Brak władz poważnie ograni-

czał legalną migrację uchodźców: jedni chcieli jechać do Kowna, inni do Warszawy lub do Lwowa. Wielu nie liczyło się z legalnością i ci wędrowali na własną rękę. Ustaliła się nawet pewna taksa za nielegalny wyjazd: 6000 litów przez Kowno do Francji lub Anglii, a przy tym podobno ustalono już oficjalny kurs lita: 1 lit = 5 zł = 2 ruble, czerwieniec = 5 litów.

Nie mogliśmy marzyć o takiej sumie. Nie mieliśmy w ogóle pieniędzy i jedni drugich ratowali „pożyczkami”. Nas ratowali Marysia Zawadzka i Waldemar Babinicz. Ponadto wyprzedawało się, co było można: obrączki, srebrne papierośnice (moja poszła za 20 zł, chociaż kosztowała 150!).

U tzw. „czerwonego” Sztrala zbierało się nie znane nam towarzystwo, załatwiające jakieś sprawy. W cukierni Rudnickiego — tylko zamożniejsza publiczność.

Inżynier Forber wpadł na pomysł założenia kursu spawania elektrycznego. Specjaliści byli poszukiwani. W ciągu dwóch miesięcy można było wycuczyć każdego. Chodziło o 12 osób przynajmniej, kurs taki miał kosztować 50 zł. Musieliśmy zrezygnować z nauki ze względu na zbyt wysoką dla nas cenę.

27 X — 30 X

Dopiero 27 października, po dwutygodniowym wyczekiwaniu rozeszła się wieść, że wojsko litewskie przekroczyło dawną granicę Polski i następnego dnia wkroczy do Wilna.

W pochmurny, dżdżysty dzień nastąpiło to uroczyste wejście Litwinów. Widziałem cztery czołgi, kilku żołnierzy na motocyklach, siedmiu żołnierzy konnych. Na Zwierzyńcu miały się znajdować liczniejsze siły. Na placu Katedralnym stały za katedrą ciężarówki z żołnierzami radzieckimi. Na ulicy Mickiewicza, mimo niepogody, zebrało się dużo ludzi.

Defilada trwała długo. Odbierał ją na ulicy Mickiewicza gen. Witkauskas. Rzekomo miała ona odbyć się na placu Katedralnym. Przeniesienie ośrodka defilady tłumaczono tym, że za dzwonnica stało kilka samochodów ciężarowych z żołnierzami radzieckimi. Ludzie opowiadali sobie, że ci sami żołnierze litewscy jeżdżą w kółko i dlatego defilada trwała aż do zmierzchu. Być może, że tak było. Żołnierze paradowali w hełmach, podobnych do szturmowych hełmów niemieckich, ale w uniformach zupełnie przypominających umundurowanie naszych żołnierzy.

Z armią litewską przywędrował Leopold Marschak, który z początku był w Wilnie i przedostał się do Kowna, oraz Orzech z „Dziennika Ludowego”. Marschak mówił nam o tym, jak bardzo trudno wydostać się z Litwy na Zachód. Liński nawiązał rozmowę z urzędnikiem litewskiego MSZ, Junavitskasem, którego poznał w Warszawie. Na czele Wileńszczyzny postawiono Antoniego Merkysa, burmistrza Kowna, który nie tak dawno gościł w Warszawie.

Z okazji zajęcia Wilna Litwini wypuścili parę jednodniówek: „Nasza Depesza”, po polsku i po żydowsku — „Niech żyje Litwa”. Ukazało się specjalne wydanie kowieńskiego dziennika „Lietuvos Aidas”.

Wpadło mi też w tym czasie w ręce kilka dzienników warszawskich, między innymi „Kurier Czerwony” z 19 września. Zorientowałem się z podpisów, że pisali Kazimierz Pollack (kp) oraz Karolina Beylinówna (kb). Numer zawierał wiadomość o śmierci aktora Hnydzińskiego, który zmarł od oparzeń spowodowanych przez bombę zapalającą, senatora T. Karszo-Siedleckiego, literata Potockiego, o zbombardowaniu zamku i śmierci jego kustosa od wybuchu bomby.

Przy okazji przyjazdu do Wilna korespondentów zachodnich dziennikarzy nawiązywali z nimi kontakty. Oczywiście wzmógł się też ruch wśród dziennikarzy. Przyjechał Kobylecki ze Lwowa z wieścią, że Rogosz z „Gazety Polskiej” wpadł w melancholię. Regnis, czyli Bernard Singer z „Naszego Przeglądu”, ujawnił się teraz, bo siedział w Wilnie właściwie od dziesięciu dni, ale nie pokazywał się, bojąc się aresztowania. Wyjechali do Warszawy Stanisław Majewski i Olchowicz. Spotkałem też cichego, szczupłego Lubierzyńskiego, sprawiającego wrażenie, jakby się ustawicznie usuwał każdemu z drogi. Był to człowiek wielkiej prawości i uczciwości; ciążył ku mistycyzmowi.

Człowiek wybiegał myślą do swoich... Przybyły niedawno z Warszawy Orzech, który wyjechał zaledwie w czwartek, widział moją rodzinę żywą. Wraz z nim przybyli dwaj nowi dziennikarze: Zagórski z „Gazety Polskiej” i Rawicz z „Republiki” łódzkiej. Uroczystości połączone z zajęciem Wilna trwały i następnego dnia, w niedzielę 29 października zawieszono sztandar litewski na zamku Giedymina, urządzono defiladę na placu Katedralnym, pełnym kałuż i błota. Wokół baszty zamkowej krążyła awionetka RWD ze znakami litewskimi. Wieczorem iluminowano katedrę.

Zaczęliśmy bardziej konkretnie myśleć o wyjeździe. Kolega Babinicz proponował pomoc, ale piętrzyły się ogromne trudności formalne. Przemycano, i słusznie, przede wszystkim lotników i ludzi wyćwiczonych w broni pancernej. Obok planowania wyjazdu trzeba też było myśleć o doraźnym organizowaniu życia. Postanowiliśmy utworzyć samopomoc dziennikarzy i literatów. Na zebraniu u jednej z koleżanek, nie pamiętam już u której, wybraliśmy wydział wykonawczy. Dziennikarze wybrali: Marię Zawadzką, Henryka Lińskiego i mnie. Uzyskaliśmy jakiś stolik w Komitecie Uchodźców i wyznacziliśmy przyjęcia na godzinę czwartą po południu w cukierni Rudnickiego. Cukiernie Sztralów i Dormana zostały zamknięte wobec nieustalenia relacji lita do złotego.

Samochodami, otoczonymi konną policją, przyjechało w poniedziałek z Kowna grono panów w cylindrach. Być może, że pomiędzy przybyłymi był też burmistrz Merkys.

31 X — 12 XI

We wtorek 31 października wybuchły w Wilnie awantury. Według relacji, które udało mi się zebrać, jacyś osobnicy zaczęli podburzać ludzi stojących w ogonkach po chleb, aby nie płacili 90 gr za kilo. Nie było chyba tak trudno o posłuch, kiedy jeszcze wczoraj płacono 40 gr, onegdaj 35, a trzy dni wstecz nawet 20 gr. Policja chodziła po piekarniach i nakazywała sprzedawać chleb po 50 gr albo po 25 centów. Ogromna większość sklepów była zamknięta, w otwartych sprzedawano według relacji 1 lit = 5 zł, w innych 1 lit = 8 zł, w Kownie bowiem dawano 12 centów za złotówkę.

„Maistas” — litewska spółdzielnia spożywców, dostarczyła już wygłodzonemu miastu nieco produktów: masło po 8 zł za kilo, jaja po 30 gr sztuka, skondensowane mleko po 2 zł, boczek, smalec, szynkę, kielbasy. Żywność sprzedawały nieliczne tylko sklepy, więc tworzyły się przy nich kolejki, liczące setki osób.

Ukazało się wreszcie ogłoszenie ministra skarbu, ustalające, że za 1 lita płaci się 2 złote. Otworzono więc niebawem cukiernie, ale szklanka herbaty kosztowała już złotówkę zamiast 50 gr. U Dormana mały kawałek czarnego chleba z cieniutkim plasterkiem sera lub dwoma jeszcze cieńszymi plasterkami kielbasy sprzedawano po złotówce, ale za to herbata była tam tańsza, bo kosztowała tylko 70 gr.

Złożyliśmy z Lińskim wizytę żydowskiemu Towarzystwu Ochrony Zdrowia (TOZ) przy ul. Sadowej. Dzięki opiece tego towarzystwa dziennikarze i literaci żydowscy mogli urządzać się całkiem znośnie.

Litwini usiłowali wprowadzić stopniowo porządek. Ukazały się zarządzenia o podwojeniu zarobków w złotych, o godzinach otwierania sklepów, o zmianie złotych na lity. Na tle cen od czasu do czasu dochodziło do awantur. U Sztrala publiczność zbuntowała się. Wezwano policjanta, który kazał brać za herbatę 70 gr, nie złotówkę, a za ciastko 50 gr. Wszyscy obecni uregulowali należność według tych cen i wyszli.

„Maistas” przywoziła żywność z Litwy, mającej znakomite spółdzielnie, w których skład wchodził zamożni gospodarze. Bodaj nie było tam małorolnych. Oprócz „Maistas” (mięso) działała „Pienocentras” (spółdzielnia mleczarska). Obie miały znakomite produkty, ale sprzedawało je niewiele sklepów. Toteż zawsze tworzyły się przy nich olbrzymie kolejki, a w tych warunkach łatwo było o niesnaski, które w sposób brutalny uśmierzali policjanci litewscy. Byłem np. świadkiem, kiedy przed sklepem na ul. Zamkowej policjant wyrzwał pałką w głowę jakiegoś człowieka, który zachowywał się zupełnie spokojnie.

Dnia 2 listopada za zezwoleniem Merkysa odbyła się po południu wielka manifestacja na cmentarzu na Rossie, gdzie w 1935 r. pochowano serce

Piłsudskiego. Zebrało się dużo osób; wszystko jednak miało spokojny przebieg.

3 listopada poszliśmy z Lińskim i Latourem do min. Merkysa. Oficjalnie, w imieniu dziennikarzy-uchodźców, prosiliśmy o azyl, a Latour o zezwolenie na wydawanie gazety. Merkys, postawny, przystojny siwy pan, wydał mi się przemęczony. Z pewnością nie miał łatwego życia! Przyjął nas mile. Rozmawiał swobodnie po polsku. Co do gazety, obiecał za kilka dni udzielić odpowiedzi.

Następnie udaliśmy się do Trimakasa, który przy Merkysie kierował sprawami uchodźców. Obiecał Latourowi poparcie w sprawie wydawania gazety, a dziennikarzom-uchodźcom ułatwienia wyjazdowe. Dokąd? Odpowiedź na to pytanie raczej wisiała w powietrzu. Z pewnością nikt z kolegów Żydów nie myślał o wyjeździe pod panowanie hitlerowskie.

Sprawa gazety obchodziła nie tylko Latoura, ale i nas, widzieliśmy w niej bowiem możliwość zahaczenia się, choćby czasowego. Nie mieliśmy już co sprzedawać. Doraźnie poratował nas Babinicz pożyczką 30-złotową. Odżywialiśmy się bardzo nędźnie, prawie samym chlebem. W butach chlupała nam woda. Marziliśmy w letnich sakpaltach. Chodziliśmy na ulicę Jagiellońską czy Zawalną, gdzie jako uchodźcy z początku mogliśmy dostać talerz zupy za 35 gr, a wkrótce potem już za 50 gr. Były to jakieś krupy, gotowane na mięsie. Na początku listopada władze litewskie, nie mogąc czy nie chcąc opanować sytuacji na rynku artykułów spożywczych, zapowiedziały wprowadzenie kart żywnościowych. Może tą drogą chciały wyeliminować z akcji wyżywiania darmozjadów-uchodźców?

Jeśli chodzi o gazetę, to mając już nawet zezwolenie na jej wydawanie, niełatwą sprawą była realizacja, gdyż 500 arkuszy papieru kosztowało 13 litów, a zecerowi trzeba było płacić 96 litów tygodniowo. Nie wiele pozostawało po pokryciu kosztów druku, farby i papieru, zwłaszcza że trudno było liczyć na większy nakład.

W dniu, w którym składaliśmy wizyty, ukazał się pierwszy numer „Kuriera Wileńskiego”, wydany przez dziennikarzy wileńskich. Dobry artykuł wstępny, reportaż z obrony Warszawy, cennik wileński z omówieniem. Wyeksponowano na pierwszej kolumnie układ radziecko-litewski i przemówienie Mołotowa.

O wydawaniu pisma myśleliśmy wszyscy, ale koledzy wileńscy mieli naturalnie pierwszeństwo. Sprzedawali numer za 40 gr lub 20 centów. Papier mogli dostać tylko za lity, i to z trudem. „Kurier” często więc wychodził na kolorowym papierze.

Nastroje były kiepskie. Leopold Marschak siedział w Kownie i radził kontynuować w Wilnie zabiegi o wydawanie pisma. Sam z pewnością sondował możliwości wyjazdu na Zachód, ale widocznie nic z tego nie wy-

chodziło. Aktorzy — Perzanowska i Chmielewski, z którymi byliśmy w kontakcie, planowali powrót do Warszawy.

Dowiedzieliśmy się o pobycie jakiejś misji amerykańskiej w Kownie. Lińskiemu udało się wybrać do Kowna i zetknąć z tą misją. Znalazł w niej swego znajomego, P. Redferna, warszawskiego korespondenta „Time”. Redfern zaprosił Lińskiego na obiad i zapowiedział swój przyjazd za tydzień do Wilna. Dał Lińskiemu jednego funta, ćwiartkę masła, trochę chleba, mięsa.

Nasz kolega nie przyniósł od korespondentów wieści, które by mogły budzić nadzieje. Sądził oni, że wobec braku żywności za trzy miesiące „całe Wilno będzie stać w kolejkach po chleb”.

6 listopada wybraliśmy się znowu do Trimakasa, który oświadczył nam, że uchodźcom nie będzie się zmieniało złotych na lity i że nie wolno jeździć do Kowna. Natomiast zarówno on, jak i kierownik wydziału prasowego (a może politycznego?) Czeczota, b. wicekonsul, robili pewne nadzieje, że uda się uzyskać zezwolenie na wydawanie pisma.

Wiedzieliśmy, że „Kurier Wileński” jest pod ścisłą cenzurą i źródłem wiadomości były nadal pogłoski albo wręcz plotki. Krążyły więc wieści o runie na sklepy w Kownie, o spadku wartości lita na rynku, o starciach radziecko-niemieckich, o bliskim wybuchu wojny fińsko-radzieckiej, o dążeniu Niemiec do uzyskania protektoratu nad Litwą.

Kiedy dostaliśmy funta angielskiego, sądziliśmy, że będzie to ze 100 litów, a na czarnej giełdzie funt równał się już wtedy 2000 zł. Czarna giełda walutowa mieściła się na Rudnickiej. Stały tam po bramach gromadki Żydów, którzy handlowali walutami. Za funta proponowali nam 300 zł. Wydawało mi się to mało, a ponadto obawiałem się, że w jakiś sposób zostaną oszukany i stracę nasz jedyny banknot. Niestety ani Liński, ani ja nie mieliśmy talentów kupieckich!

Liński rozpoczął starania o przepustkę do Kowna łącznie z Singerem. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że Sekcja Żydowska dziennikarzy była u Merkysa i uzyskała legalizację.

Kilka osób spośród nas, a więc Maliszewski, Liński, Maria Zawadzka, odbyło rozmowę z Pryłuckim, prezesem żydowskiego Pen-Clubu, oraz z członkami Sekcji Żydowskiej — Szefernerem, Rosenem i kilku innymi osobami. Postanowiliśmy wystąpić o globalną wymianę złotych na lity i w tej sprawie Zawadzka miała się udać z Pryłuckim do odpowiednich władz.

Istniejące wśród nas napięcie nerwowe potęgowały coraz to nowe plotki. Dnia 8 listopada doniesiono nam o starciach radziecko-niemieckich. Już od trzech dni było słyhać strzały artyleryjskie na granicy w rejonie Białegostoku i Grodna. Mówiono o bliskim wkroczeniu Niemców do Wilna, ale jednocześnie tłumaczono tę plotkę chęcią wystraszenia

z Wilna Żydów — uchodźców. Rozpoczęły się też szeptania na ucho, aby „nie uciekać od złotego”.

Dnia 9 listopada dowiedzieliśmy się z radia, że Hitler w przeddzień przemawiał w Monachium, a w pół godziny później wybuchła w tym miejscu bomba, zabijając dwie osoby, 33 zaś raniąc.

Zaczęliśmy rozmowy z Komitetem Uchodźców, żeby ułatwić nam zorganizowanie stołówki dla dziennikarzy i literatów. Ale jakoś mijały dni i obietnice pozostawały obietnicami.

Liński dostał przepustkę i znów wyjechał do Kowna, aby tam porozumieć się z amerykańską misją pomocy i Czerwonym Krzyżem.

Najszybciej udało się zorganizować aktorom. Właśnie z okazji tego święta odbyła się wieczorem rewia teatralna. Występował Conti, Żejmówna, śpiewał Garda (z czarną opaską na oku). Sala była przepełniona. Tego samego dnia Merkys wygłosił przemówienie, w którym powiedział, że Polacy nie zdają sobie sprawy ze zmiany sytuacji politycznej; można jednak pozwolić im na świętowanie dnia 11 listopada w takich samych rozmiarach, jak kiedyś Polacy pozwalali Litwinom obchodzić ich święto narodowe. Nie słyszałem tego przemówienia, ale relacjonowano mi je obszernie.

Czekałem na powrót Lińskiego, któremu nie skoro było wracać. Nie wiele mógł załatwić. Napisał tylko pocztówkę, że przywiezie paczkę od Redferna. Dobrze było o tym wiedzieć, kiedy chodziło się o pustym brzuchu.

13 XI — 31 XII

Dnia 13 listopada odbyło się zebranie naszej grupy. Obecnych było przeszło 20 osób. Ostro krytykowano Komitet Uchodźców, na którego czele stali adwokat Zagórski, profesor Pelczar i p. Petruszewiczowa. Zarzucono im przede wszystkim, że starają się oszczędzać. Ponoć otrzymali od władz radzieckich 100 000 zł, a wydali tylko 3000, i to na administrację. Nie wiem, w jakim stopniu zarzuty te były słuszne. Komitet nie miał, oczywiście, łatwego zadania, gdy chodziło o wielką gromadę ludzi podenerwowanych, nie zatrudnionych, a naciskany był na pewno przez Litwinów, którzy chcieli jak najszybciej rozładować napięcie, stwarzane przez uchodźców, nie mogących pogodzić się z klęską Polski. Uzgodniiliśmy, że założymy internat ze stołówką, do której dostaniemy artykuły żywnościowe.

Sprawa stawiała się pilna. Litwini ogłosili, że złotówki wycofuje się z obiegu. Za mąkę, którą wydawano na kartki, żądali tylko litów. Jednocześnie w prasie litewskiej poczęły się ukazywać artykuły o Polsce w coraz bardziej nieprzyjemnym tonie.

Dnia 15 listopada o godzinie pierwszej w nocy Wilno zostało tak pocięte kordonami, że z jednej części miasta nie można było przedostać się do drugiej. Na mieście poruszenie. Okazało się, że odbywa się przesuwanie wojsk radzieckich. Litwini obawiali się jakiejś niespodzianki ze strony wilnian. Oczywiście nie obyło się bez plotek, że są to przygotowania do akcji przeciw Niemcom.

Wynajdowaliśmy sobie różne zajęcia. Pisałem jakąś powieść o uchodźcach, układaliśmy dziennik z zamiarem wystawienia go na scenie, i na ten temat Aleksander Maliszewski rozmawiał z kierownikiem teatru Kiełkowskim. Próbowałem pisać jakiś utwór sceniczny. Jednocześnie koleddy z „Kuriera Wileńskiego”, chcąc nam przyjść z pomocą, zaproponowali dorywczą współpracę.

Dopiero po ośmiu dniach Liński wrócił z Kowna. Przywiózł paczkę żywnościową.

Znaleźliśmy przy ul. Zygmuntowskiej obszerny lokal po Związku Nauczycielstwa Polskiego za 175 litów miesięcznie. Zaczęliśmy rozglądać się za umeblowaniem, a przede wszystkim za łózkami. Wyszukaliśmy 7 dość kiepskich łóżek, 20 nocnych stolików, 2 duże stoły i trochę krzeseł. Internat zaczynał nabierać „rumieńców życia”.

Krzętailiśmy się dalej. Młodego Mieczysława Kafla, byłego pracownika Polskiej Agencji Agrarnej, zrobiliśmy gospodarzem. Towarzystwo Literatów postanowiło oddać nam bibliotekę i urządzenia biurowe. Dyrektor Kochański przekazał 12 krzeseł od aktorów. Graficy ozdobili nam lokal, zwłaszcza kol. Łuckiewicz, znakomity papieroplastyk i drzeworytnik.

Dnia 23 listopada było święto armii litewskiej. Odbyła się defilada. Nad miastem latało 9 „erwudziaków” i 3, zdaje się, „karasie”. Jeden z lotników robił dobrą akrobację. Defiladę odbierał gen. Rasztikis. Policja litewska, specjalnie czuła na kpinki antylitewskie, aresztowała kilka osób spośród przyglądających się defiladzie i robiących uwagi.

Tęgi przymrozek skuwał od kilku dni ziemię i popadywał śnieg. Dnia 26 listopada już grubą warstwą pokrył dachy i ulice.

Przyjechała tego dnia narzeczona Broncla — Alina Kwiecińska, córka Franciszka, byłego dyrektora drukarni „Ars” w Warszawie, przy ul. Siennej, gdzie drukowaliśmy „Ostatnie Wiadomości”. Wędrowała z Warszawy 8 dni. Przyniosła nieco wiadomości o kolegach, o tym, że Hieronim Wierzyński, Stanisław Majewski, Mirosław Borkowski siedzą w więzieniu, że Roman Wasilewski zmarł w szpitalu po tym, jak pocisk urwał mu nogę podczas obrony Warszawy.

Pod koniec listopada zaczęliśmy uruchamiać internat. Mimo spraw związanych z internatem, rozmów z literatami wileńskimi, którzy chcieli

jakoś utrzymać swój lokal i gotowi byli przyjąć kilku uchodźców na mieszkanie, miałem jeszcze dość czasu, aby pisać. Napisałem w tym czasie trzyaktowy reportaż sceniczny w kilku odsłonach. Nie dochował się i nie wiem, co się z nim stało. Był też czas na słuchanie radia i zbieranie wiadomości oraz pogłosek. Wiadomości głosiły o wybuchu wojny fińsko-radzieckiej. Wywołało to duże wrażenie.

W Kownie Litwini aresztowali Orzecha i odstawili go do granicy, co groziło mu, jako Żydowi, zamordowaniem przez hitlerowców. Wskutek interwencji posła amerykańskiego zabrano go znad granicy, ale zatrzymano w więzieniu.

W końcu listopada zarobiliśmy z Lińskim 27 litów za dwa artykuły, zamieszczone w „Kurierze Wileńskim”. Ja napisałem o tym, jak znaleźliśmy się w Wilnie, Liński ogłosił wywiad z posłem amerykańskim w Kownie.

1 grudnia internat został oficjalnie otwarty. Odwiedzili go poseł amerykański z Redfernem, przedstawicielami Komitetu Uchodźców — Pańskim i Petruszewiczową, oraz przedstawicielem Litewskiego Czerwonego Krzyża — Szeiniusem. Następnego dnia odwiedzili nas współpracownicy „Gazety Codziennej”, która zamieściła artykuł o naszym internacie, oraz dziennikarze z pisma „XX Wiek” z Kowna. Przedstawiciel „XX Wieku” był żołnierzem polskim i brał udział w obronie Modlina.

Na początku stołówka wydawała 30 obiadów, a w internacie zamieszkało 16 osób. Liczby te szybko wzrastały: już 5 grudnia mieliśmy zarejestrowanych około 90 osób, obiadów wydawało się około 50, a mieszkało 20 osób.

Kupiliśmy gruby zeszyt, aby prowadzić w nim kronikę internatu, jak gdyby miał on istnieć co najmniej przez kilka lat! Zeszyt ozdobił rysunkami Łuckiewicz. On też urządził w internacie pierwszą wystawę prac — akwarel, wywieszonych w jadalni. Codziennie wieczorem Liński, znakomity poliglota, referował wiadomości radiowe, które udało mu się złapać po angielsku, francusku, włosku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku... Tak to życie internatu wkraczało na „normalne” tory.

Teraz dopiero zainteresował się nami Komitet Pomocy Uchodźcom, chociaż dawno już złożyliśmy podanie o przydział żywności. Dnia 7 grudnia zjawił się na Zygmontowskiej p. Puhacz, żeby przyznać nam żywność dla 18 osób.

Dnia 8 grudnia chcąc uczcić wielki wkład pracy Marii Zawadzkiej przy organizowaniu internatu i stołówki, zebraliśmy skromną sumkę 30 litów na pantofle dla niej. Jej własne spadały już z nóg, głównie dlatego, że tak bardzo nabiegała się w naszych sprawach. I tego samego dnia stojącą na chodniku koleżankę Zawadzką uderzył przyczepą motocykla jadący

po kawalersku żołnierz, Marysia dowlokła się jakoś dorożką na Zygmun-towską, a stamtąd zabrała ją karetka do szpitala Św. Jakuba. Okazało się, że ma złamaną nogę w udzie.

Odwiedził nasz internat prof. Muszyński, świetny „zielarz”. Przyniósł nam torbę soi, zachęcając do spożywania, i obiecał trochę leków zioło-wych. Koło Przyrodników i Geografów Uniwersytetu Stefana Batorego ofiarowało nam trochę książek, dwie szafy biblioteczne, stoły, 7 krzeseł.

W dniu 11 grudnia otrzymałem pierwszy list z Warszawy. Dowiedzia-łem się z niego, że wszyscy moi bliscy żyją, z wyjątkiem Karola Szustra, który zmarł na rozpadową gruźlicę. Wielka przyjaźń łączyła mnie z tym świetnym pianistą.

Na parę dni przed moim wyjazdem z Warszawy, już po wybuchu wojny, Karol dał znakomity koncert dla mnie i mojej siostry w skła-dzie fortepianów swego znajomego przy ul. Chmielnej. Chociaż nie znam się na muzyce, byłem oczarowany. Rozpamiętywałem swą znajomość z Ka-rolem, jego ogromną wrażliwość, rzetelność i solidarność. Pisano mi z Warszawy, że przed swą śmiercią grał na moją cześć *Cortège* Marczew-skiego, utwór, który bardzo sobie upodobałem w wykonaniu Karola...

Marzliśmy coraz bardziej. W Wilnie zima zagościła już na dobre. Nie chciało się wychodzić z ciepłego internatu, ale trzeba było wciąż załatwiać jakieś sprawy. Nie bawiąc się w biurokrację, należało ustalić normy ob-cowania. W stołowce koledzy sami obsługiwali się na zmianę.

Nie obyło się, jak w każdej gromadce ludzkiej, bez intryg. Wiele kłopotów mieliśmy z niejakim W., nie wiem, czy tylko plotkarzem, czy też może czyjaś „wtyczką”. On sam rzucał na niektórych kolegów po-dejrzenia, że są szpiegami. Oprócz niego było jeszcze kilku niespokojnych, nerwowych kolegów, którzy łatwo pomawiali innych o niewłaściwe postę-powanie. Łagodzilśmy to, jak się dało, rozumiejąc, że pierwszą przyczyną kwasów i nerwowości jest beczynność i poczucie zawieszenia w próżni. Chcieliśmy nawet odseparować z 10 osób, urządzić ich jakoś przez stworze-nie dodatkowego ośrodka w YMCA, do tego jednak nie doszło.

Tak doczekaliśmy pierwszej wigilii na uchodźstwie. Wieczera zgro-madziła 90 osób. Była sałatka śledziowa, zupa grzybowa, ryba i kompot. Odśpiewaliśmy *Boże, coś Polskę*, kilka osób przemawiało, składając coś w rodzaju wyznania politycznego, i nastąpił ogólny bruderszaft. Wieczór uczciliśmy szopką. Autorem, nie pamiętam, czy nie wyłącznym, był Mali-szewski, który wykonywał też rolę spikera. Piosenki śpiewali: Liński, Marschak, Grzymała i inni. A oto owa szopaka, którą przepisałem z kro-niki internatu do swego notatnika:

Uwaga, Uwaga!

Nadchodzi, nadchodzi.

Uwaga, uwaga!

Proszę państwa, niech
kogo nie rozśmieszy,
temu nie zaszkodzi,
jeden trochę większy,
a mniejszych aż trzech;
każdy z nich przynosi
papierki, papiery,
pergaminy, tomy i foliały kart.
W foliałach są strony,
na stronach litery,
z liter ponoć słowa,
w słowach ponoć żart.
Jeśli ktoś z was w żarcie
znajdzie swoją postać,
radzę mu pozostać
uśmiechniętym, bo
od słowa do słowa
i szopka gotowa!
Tak. Szopka gotowa,
zaraz będzie szło.
Uwaga, uwaga,
nadeżdża wehikuł
rewe-rewelacji
rewelersów-ów,
zoo i muzeo
archipanoptikum,
dziennikarzo-literato-plastikon.
Darujcie śpiewakom,
panowie i panie,
gdy w pół tonu stanie,
aby nabrać tchu.
Bo w nawale zdarzeń
mogło się tak zdarzyć,
że my, dziennikarze,
nie mamy głosu!...

[O Bronclu:]

Urzędowa postać,
urzędowa mina,
urzędowo kończy
i urzę... zaczyna.
Tutaj trzeba wstrzymać
każdy ostry przytyk,
bo to teatralny
recenzent i krytyk.

[O Janku Dąbrowskim:]

Na północ od partii,
wschód od Zanzibaru,
marzy o zachodzie,

zachodząc do baru.
Gdy północ nadejdzie,
zaczęta tak cudnie,
to na Zygmuntofską
trafia się w południe.

[O Olszewskiej:]

Wzdycham ja do jednej,
może mnie przygarnie,
może da choć raz mi
kluczyk od spiżarni.

[O Grabowskim z „Czasu”:]

Elektryka zgaśnię,
on ją reperuje,
czasem się naprawi,
a czasem zepsuje.
Bo każdy to przyzna,
kto ma z prądem styczność,
że nic nie wiadomo,
co to elektryczność.

[O Grzymale:]

Mamy tu skarbnika
hi... hi... histeryka.
Choć chłopaczek mały,
ale... okazały!

[O 15-letniej Iwonce Zawadzkiej:]

Pączuszek wiośniany,
buziaczek kochany,
lecz ma protektora:
p. prokuratora.

[O Jagielskim:]

Szachy, karty, wódka,
od tego jest specem,
ale co najlepiej
lubi: spać pod piecem.
Kiedy się obudzi,
to zawsze się głowi,
by na kaflach pieca
dać mata piecowi!

[O Kaflu:]

Rządzi siennikami
w naszym internacie,
po okrągłym brzuszku
łatwo go poznać.
A że siana przy tym

zawsze ma bez liku,
robi papierosy,
sprzedaje w sklepiku. [...]

[O Klibańskim:]

Mały wzrostem, ale
bardzo energiczny,
rozdał kolegom
papier higieniczny.
On wie wszystko lepiej,
on wam wszystko powie,
on ma na języku
to, co radio w głowie.

[O Kryńskim — plastyku:]

Malował „Chrobrego”,
dziś pali machorkę
i nie jest od tego,
by wypić wieczorkiem.

[O Sobolewskim:]

Radcą był w Mandżurii,
zwiedził kawał świata.
Po jednego lita
dziś do Sztrala lata.

[O Lińskim:]

Jest tu jeden ważny
w dyplomacji sferach,
bo zna osobiście
samego Kajzera.
Żeby łatwiej zgadnąć,
powiem o nim przeto:
lepszym dyplomata
jest on wśród baletu.

[O Łuckiewicz:]

Czy znacie grafika,
Na nogę utyka.
Zbiera lity w kupki
za piękne... o! zdóbki!

[O Maliszewskim:]

Pisał powieść, pisał
człowiek przyzwoity...
Kiedyż nam postawi
wódki za trzy lity.

[O Marschaku:]

On ma monokl w oku,
a ona go nie ma.

On lubi pobrykać,
a ona go trzyma.

[O Mierzeńskim:]

Lubi żłopnąć wódki,
trzos ma niemalutki.
Wygląd ma „bieżeński”,
aniołek panieński.

[O Muszkowskim:]

Nie ma takich kobiet
Paryż ani Londyn,
których by nie uwiódł
pewien blady blondyn.

[O Antonim Olsze:]

Kto pragnie odzieży,
ten do niego bieży.
Która co innego
to także do niego.

[O Orenburgu:]

Patykowa postać,
typ melancholika,
kto w nim zdoła poznać
mistrza taternika?

[O Salmanie-Arskim:]

Pływał Łosoś, pływał,
dziś ma dużą tremę;
przyplnęła żona,
a odpłynął Bremen.

[O Krzepkowskim:]

Co to za mąż taki,
lepszy jest łód matki,
tak dba ło nas stale,
jak ło swoje dziatki.
Ale jeden tylko
z mężem tym ambaras,
że chciałby poniańczyć
wszystkie panie naraz.

[O Kretowiczu:]

Wielki chłopakawał,
szuka służącego,
aby mu pomagał
w roli... dyżurnego.

[Z powodu storpedowania statku „Bremen” przez angielską łódź podwodną „Salmon”.]

[O Zawadzkiej:]

Z Żydami gadała
kobieta niemała.
(Zresztą każda rada,
kiedy się nagada).
Tak długo gadała,
aż nóżkę zламаła.
Oby prędzej wstała
i znów pogadała!

Koniec roku zaznaczył się drobną awanturą z Kretowiczem. Poznałem go kiedyś, przed paru laty, jako przedstawiciela Agencji Morskiej; wahał się chyba, na którym stołku usiąść: dziennikarskim czy adwokackim. W Wilnie niezbyt przyjemnie zapisał się w mojej pamięci. Zrazu oponował przeciwko dyżurom, które pełnili wszyscy koledzy. Potem zaczął wygadywać na zarząd internatu. Zażądaliśmy, aby swe zarzuty wysunął publicznie. Nie chciał, natomiast zagroził nam policją litewską. Wśród okrzyków: Szantaż! Tchórz! — opuścił zebranie. Okazała się więc potrzeba powołania sądu koleżeńskiego, do którego koledzy wybrali: Mergla, Kindlera, Salmana, Broncla i Kryńskiego.

W święta zaprosił Lińskiego i mnie Marek Latour, a na Sylwestra zaprosił kilku z nas „Kurier Wileński”. Był Wit Świącicki, Kiszki i inni. Spędziło się kilka godzin przy wódce na koleżeńskich pogwarkach, z trudem odpędzając myśli o smutnej terażniejszości.

1 I — 30 IV 1940

18 stycznia odwiedziło nasz internat pięciu dziennikarzy litewskich z prezesem Litewskiego Czerwonego Krzyża na Wilno — Szeiniusem, i Trimakas. Liński błysnął swymi talentami językowymi: w ciągu trzech miesięcy tak nauczył się trudnego języka litewskiego, że wygłosił do naszych gości przemówienie po litewsku. Pisywał również artykuły po litewsku. Podziwiałem jego zdolności! Sam zacząłem się uczyć litewskiego, dość prędko jednak zrezygnowałem, nie tylko dlatego, że byłem zbyt zajęty internatem, ale i z powodu trudności tego języka.

Nasi goście wygłosili do nas uspokajające przemówienie o opiece i przyjaźni itd. Ale już 20 stycznia Liński przetłumaczył nam z „Lietuvos Aidas” zarządzenie o uchodźcach, składające się z samych zakazów, m. in. z zakresu współpracy w jakichkolwiek pismach krajowych (litewskich) i zagranicznych. Twórcą tego zarządzenia był p. Alekna, „opiekujący się” uchodźcami. Trimakas usiłował nas uspokajać, że zarządzenie takie musiało się ukazać wskutek silnych nacisków.

Widać było, że władze litewskie chciały jakoś rozwiązać problem dziesiątków tysięcy uchodźców, czemu się trudno dziwić. Niełatwo to było

osiągnąć w małym państewku, liczącym niewiele ponad milion mieszkańców. W końcu stycznia władze litewskie wymyśliły nową rejestrację uchodźców, przybyłych spod okupacji niemieckiej. Rejestrowani powinni byli podać powody, dla których nie chcą wrócić do miejsca zamieszkania. Budziło to, rzecz jasna, obawy, aby karty rejestracyjne nie trafiły do rąk gestapo i nie wywołały prześladowań rodzin, pozostających pod okupacją.

Atmosfera stawała się z każdym dniem coraz duszniejsza. Trwały dalej aresztowania. Obeszło mnie bardzo aresztowanie Waldemara Babinicza. Wzmagały się też wśród kolegów plotki i kwasy.

Mimo zakazu współpracy większość z nas usiłowała coś pisać, coś zarabiać. Czasem temu lub owemu kapnęło kilka litów. Udało się nam nawiązać kontakt z kolegami na Zachodzie: otrzymaliśmy list od Władysława Bestermana z Paryża, donoszący o tworzeniu się syndykatu.

Z Warszawą również nawiązywała się korespondencja. Listy szły tydzień do 10 dni. P. Rogowiczowa, żona Wacława, odbywała co parę dni „kurs” do Warszawy i z powrotem. Przywoziła stamtąd różne nowiny, na ogół nieprzyjemne, zniechęcające do powrotu.

Uchodźcy kręcili się nadal. Przybył Feliks Gross (w Wilnie właśnie przeczytałem jego książkę *Proletariat i kultura*), Gostyński z Lublina z żoną i dzieckiem, Kamieniecki z agencji PID (Polska Informacja Dziennikarska), kiedyś wydawca, redaktor, reporter i goniec w jednej osobie. Na szczęście ten ostatni zabawił u nas krótko, gdyż denerwował wszystkich swym zachowaniem i bezceremonialnością. To on, nie pamiętam przy jakiej okazji, na oficjalnym przyjęciu poklepał po ramieniu jakiegoś ministra i zamknął sobie dostęp nie tylko na oficjalne przyjęcia! Kindlera tak wyprowadził z równowagi, że ten ledwie się powstrzymał od spoliczkowania go.

24 marca, w niedzielę wielkanocną, do stołu w naszym internacie zasiadło sto osób. Od Komitetu dostaliśmy dodatkowo 200 litów. Do ozdobienia pokoju najwięcej przyczynił się kol. Łuckiewicz: pomalował kafele pieca na wzór holenderski, zrobił piękny abażur, świetne bibułkowe firanki na okna. Wielkanoc obfitością śniegu przypominała Boże Narodzenie; śnieg padał przez kilka dni.

Ze Lwowa przybyli do Wilna: Atkin (z Łodzi), profesorowa Arnoldowa (profesor był już w Wilnie), brat Bongartów, prof. Iwanowski z córką, inżynier Stanisław Rogowicz, brat Wacława, Malinowscy.

Wyjazdy udawały się jakoś. Na razie przez Kowno i Połagę. Z Kowna samolotami do Szwecji. Uzyskiwało się tam wizy włoskie, być może niezupełnie autentyczne. Zawsze trzeba było mieć na to jakieś pieniądze. Tylko lotników i żołnierzy broni pancernej wysyłano, oczywiście w tajemnicy przed władzami, na koszt Polski, na razie za angielskie

pieniądze. Część ludzi wybrała się do Warszawy, część do krewnych na wsi. Zaczęły odchodzić transporty z uchodźcami na tereny okupowane przez hitlerowców.

W drugiej połowie kwietnia wyruszył taki transport, składający się z 700 osób, chociaż nie było wiadomości, jak dotarł pierwszy, który wyruszył o kilka tygodni wcześniej. Ludzie na ogół dość nieufnie traktowali te wyjazdy i tylko zupełna bezradność skłaniała ich do rejestracji na powrót. Głód zresztą panował i w Warszawie, chociaż szybko rozkręcała się organizacja szmuglu.

1 V — 15 VI 1940

W dniu 1 maja zmarł Światopełk-Karpiński w wieku 31 lat. Sekcja zwłok wykazała arteriosklerozę, pęknięcie naczynia krwionośnego, wylew krwi do mózgu. Pochowaliśmy go na tzw. Górcie Literackiej na Rossie. Szedłem za trumną z Hanką Ordonówną-Tyszkiewiczową jako przedstawiciel naszego internatu. Tyszkiewiczowie żyli w przyjaźni z Karpińskim. Wiele wieńców i wiązanek kwiatów pokryło grób poety. Ludzi było na pogrzebie dużo, a otaczał nas wianuszek licznych policjantów, którzy wszędzie czyhali na antylitewskie wystąpienia. Pogrzeb Karpińskiego nie spełnił jednak ich nadziei.

Do internatu przychodziły dalsze nakazy o wysiedlaniu. Chodziliśmy z interwencjami, które zbywano niczym. Wysunęliśmy projekt przeniesienia całego internatu do Poniewieża, nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi i na tę propozycję. Jeździłem w tej sprawie nawet do Kowna, gdzie spędziłem pięć dni. Odbyliśmy tam szereg konferencji, m. in. z posłem angielskim Prestonem, posłem amerykańskim Norenem i z „dyktatorem” uchodźców Alekną, który zrobił na mnie nieszczególne wrażenie: młody człowiek wygłaszał do nas przemówienia, upajając się własną wymową. W delegacji uczestniczyli: Feliks Gross, Henryk Liński i ja. Płatał się koło nas Górski. Alekna obiecywał, że przeniesie internat, ale było to czcze gadanie.

7 czerwca rankiem przyszło 8 policjantów egzekwować nakazy wyjazdów wobec tych, którzy nie ruszyli się z miejsca. Stało się to, mimo że Alekna obiecywał odroczyć im wyjazd do 1 lipca, przez ten czas miał załatwić przeniesienie internatu. Policjanci zatrzymali Orenburga, aby odstawić go ciupasem, nie miał bowiem „leidimasu”. Zebraliśmy dla niego 15 litów na drogę i delikwent wyruszył. Policja oskarżyła nas o sabotaż. Nie pomogły telefony Szeiniusa do Alekny.

W połowie czerwca Niemcy zajęli Paryż. Trudno sobie wyobrazić przygnębienie, jakie nas ogarnęło na wieść o upadku Francji! Usiłowaliśmy się mimo to jakoś trzymać. Zacząłem w czerwcu pracę jako redaktor techniczny i depeszowiec w „Gazecie Codziennej”. Zaangażował mnie

tam miły, starszy kolega Hryniewicz, oczywiście w porozumieniu z redaktorem naczelnym. Siłą rzeczy odsunąłem się od grupy internatowej, która zaczęła się rozsypywać. Górski okazał się przy tym wcale zręcznym demagogiem. Postanowiliśmy złożyć mandaty i zaproponować kolegom, aby wybrali „poniewieski” zarząd. Ale wówczas na Litwie nastąpiła wielka zmiana — Litwa została Republiką Radziecką.

17 VI 1940 — 22 VI 1941

Rząd litewski utworzył dziennikarz Justas Paleckis, lewicowy działacz ludowy; wicepremierem został Kreve Mickevičius, literat.

Ostatnie wydarzenia we Francji bardzo obniżyły jej prestiż. Chancelle kłóciła się więc ze wszystkimi, występując w obronie honoru swej ojczyzny, która okazała się taka niezdolna do jakiegokolwiek czynu w porównaniu z Polską. Do najostrzejszej kłótni doszło z p. Zahorską, która sprawę skierowała do sądu koleżeńskiego.

Sam bardzo rzadko zachodziłem już do internatu na Zygmuntowską. Złożyłem prezesurę i zamiast mnie wybrano Adama Grabowskiego z „Czasu”. Dnia 28 czerwca przestał wychodzić „Kurier Wileński”, a ukazała się „Gazeta Ludowa”.

Już po miesiącu nastąpiły zmiany w redakcji „Gazety Codziennej”. Redaktorem naczelnym został Michał Marcińczyk (Iwaszko), kolega Teodora Bujnickiego. Młody człowiek, lat około 30, b. nauczyciel szkoły powszechnej, dość miły, ideowy komunista, nie mający pojęcia o dziennikarstwie.

Mimo zmian w redakcji (wymówiono pracę Hryniewiczowi i Chomińskiemu) przed 20 sierpnia władze zamknęły obie polskie gazety wileńskie: „Gazetę Codzienną” i „Gazetę Ludową”, i stworzono nową „Prawdę Wileńską”, dobierając pracowników z obu redakcji: Bujnickiego, młodego uśmiechniętego poetę, powierzając mu dział kulturalno-oświatowy, ja miałem łamać numery, Alfreda Łęskiego, Joannę Wyszowską, kierownikiem administracji został Józef Jurkiewicz. Kolegium redakcyjne tworzyli: Stefan Jędrychowski, Andrzej Nowicki i Karosas. Zespół redakcyjny był przez kilka dni płynny. Kolegium zastanawiało się nad dalszym skompletowaniem zespołu. Lińskiego przyjęto tylko na wierszówkę, powierzając mu dział „fizykultury”, co nie robiło mu żadnej różnicy, zawodów bowiem w owym czasie nikt nie organizował, a o wychowaniu fizycznym Hęnio mógł pisać!

Redakcja ustaliła już swój skład: Teodor Bujnicki objął sekretariat, zastępując Jędrychowskiego, który prowadził dział kultury. Nowicki został zastępcą redaktora naczelnego, chociaż o dziennikarstwie niewiele miał pojęcia, przy tym był z niego wielki nerwus. Zarobki kształtowały się nie najgorzej: Sokołowski otrzymał tysiąc rb; Nowicki i Jędrychowski

po 750; Bujnicki, Stefan Świerzewski jako kierownik działu informacji, ja jako redaktor techniczny — po 600 rb; Kazimierz Namysłowski jako kierownik działu przemysłowego też 600 rb; Alfred Łęski, Kazimierz Rubinstein, zawsze uśmiechnięty Jakub Kowarski, Maria Żeromska-Namysłowska, Alina Rebane, Minkowski (nasłuch radiowy komunikatów TASS), Antoni Olcha — kier. działu wiejskiego otrzymywali po 400 — 500 rb. Ponadto spora gromadka pracowała na wierszówkę: Gross, Liński (tłumaczenie z litewskiego), Załkind (pseudonim Romek), Konstanty Szychowski, Maśliński, Mikułko (poezja), Kurski.

Korektorkami były Rzeuska i Abramowiczówna, Joanna Wyszowska czuwała nad poprawnością polszczyzny.

Administrację objął Chmielewski, księgowość — jego siostra Alina Jędrzejczykowa, była też maszynistką; nie wiem, jakie stanowisko objęli: poczciwy Borysowicz, Halina Z. i jeszcze kilka innych osób. Nakład sięgał 30 000 egz.

1 kwietnia dostałem wymówienie. Razem ze mną zredukowano Lińskiego, Minkowskiego, prof. Arnolda i Alinę Rebane.

W tym okresie, kiedy praca w „Prawdzie Wileńskiej” zabierała mi tyle czasu, nastąpił rozkład środowiska uchodźczego. Jeszcze przed likwidacją internatu wyjechała poważna część jego mieszkańców. Niektórzy przedostali się do Warszawy albo dzięki fałszywym wizom japońskim i pieniądзом, którymi można było opłacić „Inturista”, sporo osób dotarło do Japonii. Tak samo jak Orenburg wyjechał też Kiersnowski. Niektórzy dostali się przez Szwecję do Anglii. Inni czepiali się jakiejś pracy, np. Domański w biurze planowania u Jędrychowskiego, Marschak jako „pomocnik” Nowickiego w nadawaniu korespondencji do kowieńskiego „Trużenika”.

Liński, Szychowski i ja zapisaliśmy się na kursa rzemieślnicze w dziale instalacji centralnego ogrzewania. Na kursie uczono nas litewskiego, arytmetyki, marksizmu-leninizmu, trochę kreśleń. Nie mając wielkich nadziei na uzyskanie pracy, Liński poszedł do pracy w kancelarii FZO (kształcenia przemysłowo-fabrycznego). Brat Teodora Bujnickiego, Paweł, obiecywał mi pracę przy budowie jakiegoś garażu.

Około 1 maja wraz z Konstantym Szychowskim i Marią Borkowską przyjęto mnie na kurs inwentaryzatorów. 20 maja dostaliśmy już pracę, polegającą na rysowaniu planów domów, które przechodziły na własność publiczną. Miejscem naszej pracy były Troki. Kostek dostał pracę kontrolera, ja — inwentaryzatora.

Już w maju stosunki między Związkiem Radzieckim a Niemcami zaczęły się wyraźnie zaostrzać. W Niemczech zorganizowano „rządy” dla Ukrainy, Litwy, Łotwy i Estonii. Na czele „rządu” litewskiego stanął ambasador litewski w Berlinie, a przedtem w Warszawie — Szkirpa.

Okolo połowy czerwca radio londyńskie doniosło o poważnej koncentracji wojsk niemieckich na granicy z ZSRR — aż 130 dywizji, a nad granicą bułgarską — 39 dywizji.

Wczesnym rankiem w niedzielę 22 czerwca jakieś huki wyciągnęły mnie na podwórze. Patrząc i oczom nie wierzę: nad lotniskiem, dość daleko na Porubanku — lecą samoloty, po kolei pikuja, bucha kłęb dymu; dociera do mnie huk wybuchu. Nalot! Nad lotniskiem unosiły się już kłęby dymu. Niebawem rozpoczął się też nalot na samo Wilno.

Ruszyłem przed siebie. Wybuchy rozlegały się od strony kolei. Warkot samolotów coraz wyraźniej zbliżał się do śródmieścia. W okolicy mostu Zielonego zaczęły padać bomby. Zajrzałem tam do znajomych, w chwili kiedy kilka bomb spadło w pobliżu. Parterowy domek dygotał, sypał się tynk, brzęczały szyby.

Idąc powoli, wydostałem się poza obręb miasta. Znalazłem się w lesie pod Zameczkiem, na wzniesieniu, którym zainteresowali się lotnicy niemieccy. Chociaż z góry roztaczał się widok na całe Wilno, nad którym w wielu miejscach kłębiły się dymy pożarów, musiałem przesunąć się w głąb lasu, zaczęły bowiem padać bomby. Być może, że na wzgórzu były jakieś obwarowania, czy też stała artyleria przeciwlotnicza, i dlatego Niemcy rzucali tam bomby. Późnym już wieczorem usiadłem pod drzewem.

Wojna między Niemcami a ZSRR wybuchła. Otwierała się nowa karta.